

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

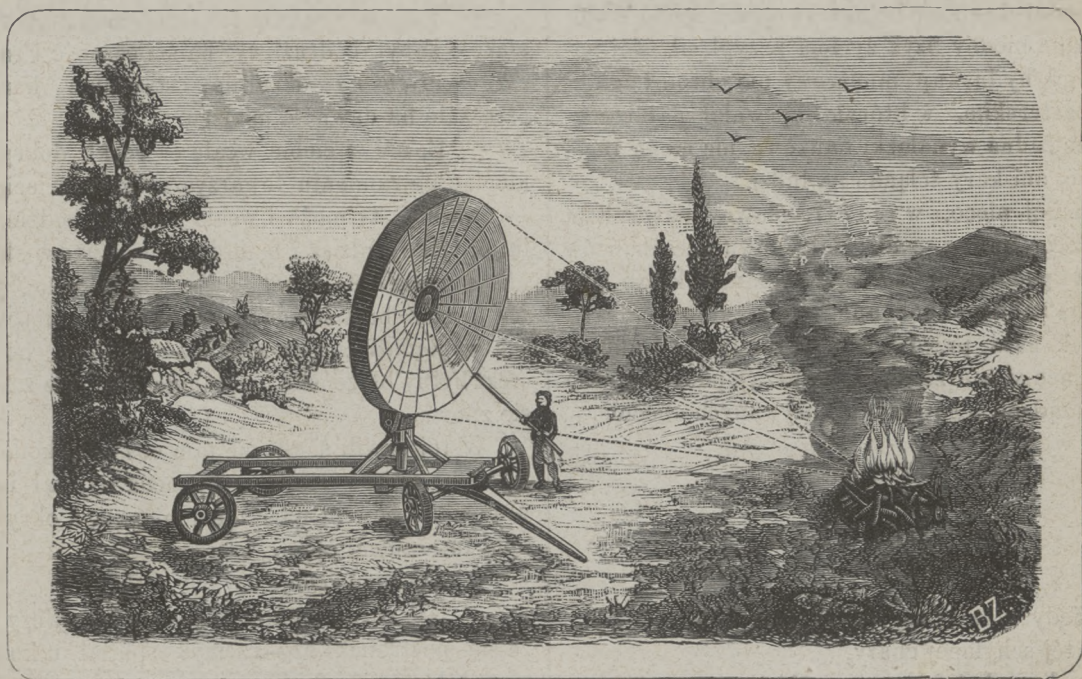
DLA DZIECI.

[14]

## ZWIERCIADŁO PALĄCE.

Czytaliście zapewne historią Archimedesza, starożytnego mędrca, który pomiędzy wielu innymi znakomitemi wynalazkami, wymyślił zwierciadło palące tak ogromne i potężne, że stojąc na murach Syrakuzy, Archimedes zapalał niemi okrę-

Już dawniej kiedyś opowiadaliśmy wam, młodzi czytelnicy, jak to promienie światła bieżą, jak się odbijają od powierzchni gładkich, zwierciadlanych i jak ztąd powstają obrazy. Nie będziemy więc po raz drugi tego wszystkiego powtarzać, powiemy tylko w krótkości, na czem polegają własności zwierciadeł palących. Spójrzcie na



Zwierciadło palące.

ty nieprzyjacielskie. W późniejszych czasach, paręset lat temu, nie chciano w to wierzyć i uważano całe opowiadanie starożytnych historyków o zwierciadłach palących za bajeczkę. Choć dotychczas nie wykryto, jakim sposobem zwierciadła Archimedesza były robione, wiemy jednak z pewnością, że można za pomocą takich przyrządów wytwarzać nadzwyczajne gorąco.

rysunek, a zrozumiecie to łatwiej, niż z najobszerniejszego opisu.

Gdy promień światła padnie na powierzchnię zupełnie gładką i nieprzezroczystą, odbija się od niej i napowrót bieży. Gdy pada prostopadle do tej powierzchni, powraca tą samą drogą, ale jeśli kierunek promienia do tej powierzchni jest ukośny, odbije się także ukośnie i pójdzie inną drogą, two-



rząc z pierwszą drogą promienia bardzo regularny kąt. Jeżeli weźmiemy zwierciadło wklęsłe, wszystkie promienie się powyginają w kierunkach ukośnych i to w taki sposób, że w pewnym oddaleniu od zwierciadła spotkają się z sobą. To miejsce nazywa się ogniskiem zwierciadła. Łatwo zrozumieć, że zetknięcie i połączenie licznych promieni w jednym punkcie musi wytworzyć światło i ciepło tym silniejsze, im większe będzie zwierciadło, bo od obszerniejszej powierzchni większa ilość promieni się odbije.

Jeszcze w r. 1679, gdy we Francji panował Ludwik XIV, pewien fizyk, nazwiskiem Villette, urządzał dla jego zabawki podobne zwierciadła, a wystawiając je na słońce, zapalał drzewo, a nawet topił metale. Też same doświadczenia powtarzane były w mieście Liège, a z kronik ówczesnych dowiadujemy się, że pospólstwo przypisywało zwierciadłu własności czarneckie i groziło śmiercią wynalazcy. Były to czasy ciemnoty i zabobonów, ktoś puścił wieść niedorzeczną, że przyrząd ten może sprowadzić nieurodzaj, klęski rozmaite i kary na mieszkańców, którzy takie czarno-księżkie sztuki znosić będą w swoim mieście. I byłby pewnie biedny fizyk życiem przypłacił swój pomysł, gdyby biskup miejscowy nie obronił go listem pasterskim, w którym upewniał najuroczyściej, że żadne wynalazki naukowe nie mogą Boga obrażać, ani kary ściągać na ludzi.

Później nieco, w r. 1747. sławny naturalista francuzki, Buffon, zadziwiał znowu mieszkańców Paryża podobnemi doświadczeniami, które już wówczas żadnej zabobonnej twogi nie wzbudzały. Rysunek nasz przedstawia zwierciadło Buffona, zapalające stos drzewa. Inną razą opowiemy wam o przyrządach tego rodzaju, używanych obecnie.

## PIELGRZYM.

Kiedy w świat się wybierałem  
Z tej schyлонej chaty,  
Brałem chętnie sercem całym  
Me pielgrzymie szaty;

W sakwy brałem zapal młody,  
Radość uśmiechniętą,  
Szedłem w świat tak, jak na gody,  
W duszy miałem święto.

Dziś powracam schylon trudem,  
Puste sakwy niosę,  
Rad się witam z bratnim ludem,  
Piję srebrną rosę;

Rad pozdrawiam stare strony,  
Drogi i rozłogi,

Witam chaty dach schylony  
I caluję progi.

I każdemu powiem z młodzi:  
— Idź nad cudze zdroje!  
Abyś umiał, jak się godzi  
Cenić to, co twoje!

Kukułka z nad Bzury.

## TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M.a.

(Dalszy ciąg).

Dwaj młodzi wojewodzice starostowie popatrzyli na Francuza, lulającego w ten sposób karabelę, potem spojrzeli na siebie wzajem i — hucznym wybuchnęli śmiechem. Nawet Marek, do starszeńskiej powagi wdrożony od dziecka, śmiał się na ten raz serdecznie i głośno, aż mu łzy w oczach stanęły.

— *Mais*, z czego śmiejecie się *messieurs Starosty*? — zapytał drażliwy na śmieszność Francuz, *zdekoncertowany* okrutnie, stawiając karabelę ostrożnie na dawnym miejscu.

— E, nie z ciebie wcale — rzekł dobry Jan, klepiąc po ramieniu towarzysza figlów dziecinnych — owszem, ty może i wcale pasować będziesz do lutni; tylko widzisz i mnie i wojewodzicowi starszemu przyszło na myśl, na ciebie patrząc, jakby też to nasz brat szlachcic z ową tam lutnią w garści wyglądał?... i z tego śmiać się chce, bo już ci efekt byłby błazeński!.. — i młodzi panowie zaśmiali się znowu.

W tej chwili snadź się tam coś koło koni splątało, bo powóz stanął. Francuz wyjrzał i sadowiąc się napowrót na swoim miejscu, a okrywając nogi futrzanemi opony, rzecze:

— Nie *komprenejé*!...

— Nie rozumiesz? a czego tam znów, czy tego, że się postronek czy rzemyk splątał u koni? — spytał Jan.

— *Non, monsieur* — odpowie Francuz — ale tego, czemu jaśnie wielmożny wojewoda, do Krakowa wysyłając synów swoich, wysłał ich z wielkim jak na tak młode panięta dworem, a teraz wysyła was, *messieurs*, do Paryża! do wielkiego Paryża! — samotrzeć!... nieledwie bez służby, tak, że gdy potrzeba co u koni poprawić, to jeden jedyny forys robić to musi. Albo i to; jak w Krakowie, to się dom cały najęło, i żyło wystawnie, pańsko i świetnie, a jakże teraz w Paryżu, gdzie przecież pod bokiem Wielkiego Ludwika króla żyć się będzie,



to panowie wojewodzice mają, jak lada kto, w jakimś tam podrzędnym hotelu stanąć!)

— No, czyliż ja nie miałem racyi, gdy m rzekł: że on ciasną głowę ma? — mówił Jan do brata, ramionami na Francuza wzruszając. — A no, wiesz co ci powiem? — dodał do Francuza się zwracając — weź ty się krzepko do galardy, bo ani chybi, że mistrzem tanecznym zostaniesz.

— *Pourquoi donc?* Czemu? — zapytał naiwny Francuzik, a rubaszny ale wesoły Jan odrzekł:

— Temu, że głowę prawdziwie ciasną masz; zaś przecież nie głupi jesteś, więc rozum musisz mieć, a no w nogach chyba, bo głowa nań zaciąsna; weź ty się zatem do zarabiania nogami na onę sławę i majątek, o których marzysz, a pewno przedzję i więcej co zarobisz, niż głową.

Francuz się niby skrzywił na ten żart pana i kolegi, ale i zamyślił się jakoś; może w żarcie dopatrzył racyi istotnej. Tymczasem konie ruszyły znowu, a poważny Marek rzekł do Francuza, przerzucając kartki instrukcyi:

— Nie zawadzi wszelako waszmości zrozumieć to, czego nie rozumiesz, *ergo*, słuchaj: — i czytał co następuje: „Oprócz onych tam psot a swawoli dziecięcych, mogą ja sprawiedliwie rzec, iż mię Bóg wszechmocny osobliwie na was, mili synowie moi, pobłogosławił, jakoż tak jest, iżem nigdy zgryzoty z waszję strony żadnej nie użył. — *Ergo*, niechże to już tak i dalej przez czas peregrynacyi waszję zagraniczną zostanie. A iżeście nie dzieci, lecz młodzieńcy i że was tam na wasz własny rozum bez żadnej zwierzchności puszcza, tedy chcę, abyście każdą rzecz, dla czego co robię, rozumieli, nie jak ona gawieź, która to dziwuje się, iż was prawie samotrzeć posyłam do Paryża, a w Krakowie z wielkim sumptem prowadziłem. Otóż tak to jest, że Kraków mniejsze miasto, a Paryż większe, więc w Krakowie za ów sumpt i splendor, jakim was otaczałem, mieliście uważanie u ludzi, zaś ubodzy ludzie, a kupiec, a rzemieślnik, błogosławił was i wy sami staraliście się z duszy dla tych splendorów w tém zacniejsze splendory rozumi wasze ozdabiać, i tém piękniej a zacniej ludziom się zasługiwać, wiedząc, iż na was oczy ludzkie zwrócone są, nie tylko Boskie; a już im kto jaśniej oświecony a wielmożny jest, tém jaśniej a więcej też przykładem świecić musi! A no inna rzecz w Paryżu, tym wielkim. Tam bogatych a możnych paniczów nie wiele w rzeczy, ale takich, którzy wielkość i bogactwo okrutne udają, jest tam moc! Tedy chociażbym wszystek grosz na to obrócił, przeczże oni tamci byliby zawsze nad was na wierzchu w zbytkowaniu swoim z tēj racyi, że oniby za cudzy a zarwany dukat zbytkowali, a wy za swój własny szlachecki ucziwy grosz. Wolę ja na was

w Polsce ważyć *in oculis* pana i wszystkiēj ojczyzny, niż się wysilić na sumpty do cudzēj ziemi, a potēm, żebyście w Polsce samotrzeć chodzili uchowaj Boże. A iż i nasi bracia nie wszyscy mōjego myślenia są, tedy to wam z gorącego ojcowskiego serca, a i własnego doświadczenia przykazuję, abyście od towarzystwa hucznych a zwadliwych naszych tam panów Polaków się wstrzymywali, gdyż w takowēm towarzystwie najłatwiej w długie zabrnąć. A co już do długów tych, to was upominam i pod błogosławieństwem zaklinam, abyście się strzegli. Jeśli wam Bóg więzienie przejrzał, cierpcie je za ojczyznę ale nie za długie, jako siła naszych Polaków pomarło w katuszach francuzkich dla długów, z wielką sromotą narodu naszego.

— A zrozumiałeś waszmość, hę? — spytał wojewodzie młodszy, swawolnie po ramieniu klapnąwszy Francuza.

— Już że w *racyi* i w *bystrości obserwacyi* jaśnie wielmożny wojewoda jest mistrz, to prawda! — przyznał Francuzik, głową kręcąc, widocznie przekonany.

— A teraz — rzekł Jan z pewną nieśmiałością, patrząc znowu z boku na swego starszego — teraz, kiedy Francuz już podobno wszystko zrozumiał, czego nie „komprenował“ wprzód, ja mam wielką chęć powiedzieć, jako rzeczy pewnej nie „*komprenuje*“ a no nie wiem, czyli pan brat wyjaśnić mi ją zechce?...

— Już chybabym w rzeczy sam nie wiedział! — odrzekł z serdeczną gotowością starszy.

— Ale bo — powiedział Jan z wahaniem — ja wiem, że brat odwiedził przed tą naszą podróżą onego starego Justusa na wieży i słyszałem coś z waszmościńej rozmowy o tēm z panem wojewodą, tedybym okrutnie rad coś też o onym starym na pewno wiedzieć, a zaś słuchając bajek przeróżnych, między służbą biegających, nie śmiałem o to nigdy pani wojewodziny zapytać, pana wojewody tēm mniej.

Jakaś niby chmura smutku przesunęła się po czole Marka na takowe Jana pytanie, ale po chwili odrzekł zwolna:

— Niema w tēm nic tajemnego: wiesz waszmość, panie Janie, kto jest Justus, niewolnik, mędrzec, do rodziny pana dawnego sercem przywiązany, a prawdziwie opieki potrzebujący. Odwiedziłem go, bo to zwyczaj przed każdą ważniejszą imprezą u dziedziców Żółkwi, na co i panu bratu przyjść kiedyś może... — dokończył półszeptem Marek, z dziwnie smutnym a przelotnym uśmiechem. Ale Jan, niby w serce tknięty, chyżo pochylając się w jego stronę, dosłyszał słów ostatnich i zadrżał, jak liść osinowy:

— Co to? czyliżby co złego przepowiedział



bratu?! bodajżem nie doczekał iść do niego, a dzie-dzicem Żółkiw zostawać! — krzyknął ze łzami gwałtownie przerażony. Bo wiedzieć trzeba, że na skutek mądrych starań państwa wojewodów, nie było nigdy wielkich pozorów serdeczności między ich dziećmi, ale była za to miłość prawdziwa braterska. To też Marek spojrzał bratu w oczy, zrozumiał odrazu, co mu w sercu drżało, i odrzekł prawdziwie po ojcowsku, gromiąc go surowo na pozór.

— A toż znowu co? cóż to waszmość dzieciak jesteś, czyli też człowiek nieoświecony, że przed przyszłością się strachasz, a zaciekawiasz do niej? Przyszłość jest w ręku Boga; ja do Justusa poszedłem dla zwyczaju, a i dla téj przyczyny, że błogosławieństwo wiekowego starca onego, sercem nam przychylnego, też znaczy wiele. A choćby i co niezwykłego taki człowiek mówił, toż trzeba mieć na uwadze, iż on bardzo wiele rzeczy może wiedzieć i pamiętać, a innych bystrym rozumem dociekać, tamte poprzednie kombinując. A i to bywa, że jakoweś tam przepowiednie niewyraźne słysząc, później je sobie po faktach już spełnionych różnie do faktów tych nakręcamy. Wszakże na tém to właśnie stały sławne greckie wyrocznie, nigdy nic jasno, a wyraźnie nie mówiąc, jeno prawiąc dwuznacznie tak, aby z wróżby onéj można zawsze wywróżyć na dwoje.

Jan niespokojnie patrzył na brata, mimo jego rozumnego tłumaczenia, bo gawędy, od służby w dzieciństwie jeszcze zasłyszane, przypomniały mu się teraz. Więc brat, chcąc wesołego zazwyczaj chłopca i teraz rozweselić, rzekł jeszcze:

— Otóż powiem waszmości, panie bracie, że ja nie tylko Justusa o nic co do przyszłości nie pytałem, ale nawet słuchać nic o tém nie chciałem, mając to sobie razem za grzech i za nierozum, na co on, jako innych religijnych pojęć, inaczej się zapatruje. To też, chcąc mię skłonić, tak, jak każdego z naszych przodków podobno, hym szabłą porzucił, a jemu w naukach jego hermetycznych pomagał, czy wiesz, co mi powiedział? oto popróbowował podzielać na mnie przez was i nie kazał nam zgola w tę podróż jechać, a to dla tego, że wy macie w niej po raz pierwszy spotkać i ujrzeć na żywe oczy troskę waszego żywota!..

Marek wiedział co czynił, mówiąc w ten sposób, bo młodszy brat, zasmucony przed chwilą, gdy zląkł się jakiegś złej przepowiedni dla brata, teraz, usłyszawszy ją wystosowaną do samego siebie, parsknął wesołym śmiechem, mówiąc:

— Prawdziwie grecka przepowiednia w istocie, bo mądra taka, że zgola *nic* ziścić się nie może. Jużci po raz pierwszy w życiu wychodząc z pod rodzicielskiej opieki, choćbym i najmądrzejszy był,

spotkam się niechybnie z pierwszą prawdziwą troską w życiu i na żywe oczy przykrość jej zobaczę; a i przystosować też można onę przepowiednię do każdej bez wyjątku niedobrej rzeczy... ha!.. ha!..

— No, to i widzisz pan brat, co to jest przepowiednia! — zauważył z uśmiechem Marek zadowolony, że znowu śmiech na usta zwykle wesołego Jana wywołał. A wtém krzyk przeraźliwy niewieści rozległ się w pobliżu i konie stanęły zwolna.

— A ot i troska! Mordują tam kogoś, czy co! a choćby i nie, to zawsze troska, bo przeszkoda w podróży — zawołał Jan, i chwyciwszy za szabłę, a macnąwszy się wedle pasa, gdzie więcej mieli uzbrojenia, obaj bracia, a za nimi Francuz, wyskoczyli z powozu, biegnąc chyżo tam, zkąd krzyk przylatywał.

— Paniczkowie! na rany Boskie ostrożnie! bo nie wiecie co tam jest! nie stawałby ja wcale, gdybym przejechać mógł!.. — wołał stary Łukasz, trzymając szóstkę silnych rwących się koni oburącz, gdy i młody foryś, chwyciwszy jakiś drażek żelazem kuty, skoczył za paniczami. Nie potrzebowali biedz daleko; tuż prawie przed końmi stały, a w części i leżały inne konie, także piękne i do pięknego zaprzężone pojazdu, ale wszystko splątane jakimś przypadkiem leżało, na poły zatarasowawszy i tak niewygodną drogę. Kilku mężczyzn, dziwacznie jakoś poodziewanych w chusty wszelakiego rodzaju po wierzchu kusych futerek, że i nosów prawie im widać nie było, kręciło się koło splątanego zaprzęgu, piszcząc po cudzoziemsku, drepząc w śniegu i w palce chuchając, a nic nie umiając radzić.

— Ot, *miemcy* to jacyś przewrócili się z betami, więcej nic! — zawołał foryś, ostygłszy nagle z gorliwości, z jaką biegł ku pomocy i machając drągiem za siebie, krzyczał do starego Łukasza, ku jego uspokojeniu:

— Nic! nic! to jeno *miemcy* się przewrócili i pozabijali!

— Francuzi! jakieś nieszczęście! — krzyknął Francuz i biegł z otwartymi rękoma ku piszczącym w istocie po francuzku owym jegomościom.

— Wybrali się zimą w drogę, a sami nie wiedzieli jak!.. — mówił rozważny Marek, patrząc na zamazane koła powozu, eleganckiego ale źle zaopatrzono z razu, co później w drodze chciano już próżno wynagrodzić wszelkimi sposobami, tak, że bodaj czy nie bety a poduszki w istocie wyglądały tam ze stosów przeróżnego ciepłego odzienia. Tak mówiąc, wojewodzie czasu nie tracił i wraz z bratem przyskoczył prosto do powozu, z głębi którego wydobywały się straszne krzyki owe. Nie namysławiając się ani rozpatrując, każdy chwycił tylko niewiastę, którą mógł dosięgnąć i wyciągnął ją



ze stosu poduszek i odzieży w przechylonym na poły powozie

— Do naszych sani! bo na śniegu zimno na Francuzice! — zakomenderował Marek i pierwszy poniosł tam starą jakąś jejmość.

— Damy! damy! — wrzeszczał Francuzik domowy wojewodzców, przypadłszy za ich przykładem do powozu i wywłókłszy zeń drugą podobną. Młodszy wojewodzie niósł także maleńkie jakieś stworzenie, tak okrutnie wrzeszczące, że te to właśnie wrzaski rozlegały się na drodze.

— Oho! z tém musi być coś złe, kiedy tak krzyczy... — rzekł Jan, zabierając się wkładać ostróżnie to co przyniósł do własnego powozu.

— Zabita! pewno zabita! — krzyknął Francuzik ze zwykłą mu przesadą i puściwszy jejmość, którą przyniósł, rzucił się z pomocą ku téj, którą niósł pan Jan.

— E, chyba niezewszystkiem zabita, skoro jeszcze tak wrzeszczy, — mruknął pan Marek. Na ów okrzyk Francuzika i rzucenie się jego ku małej wrzeszczącej istocie, krzyknęły przeraźliwie obie starsze Francuzki i także przypadły do nięj, przeskadzając Janowi kłaść ją do powozu, a krzycząc:

— *Tuée! tuée!* zabita! zabita! — A wtém, napađnięta tak ze wszystkich stron, owa krzycząca istota wyrwała się mocném szarpnięciem z chwytających ją rąk, niby rybka z sitowia, pozostawiając w tych rękach różne odzienie, szale, jubki i parę ogromnych futrzanych trzewików, skoczyła na śnieg ubrana strojno po francuzku, jakby dorosła dama w ciepłym, a i królewskim salonie, odepchnęła Francuzika i Francuzki, a stanąwszy przed wojewodzicem Janem, wybawicielem swoim, ukłoniła mu się, jak w tańcu, bardzo pięknym i uczonym ukłonem, mówiąc po francuzku:

— Marya Kazimiera, hrabianka d'Arquien, panna dworska królowej polskiej, dziękuje panu za wyratowanie ją od śmierci! *waszmość!* — ostatni ten wyraz panna owa wymówiła po polsku i bardzo dobitnie, może sądząc, że wyuczywszy się tego wyrazu, umie już mówić po polsku. Miała zaś ta panna z pewnością nie więcej nad lat jedenaście, a była tak drobna, strojna, szczupła i maleńka, i takie przytém miała obojście dorosłej panny, że śmiać się chciało, patrząc na owę szastającą się po śniegu żwawą figurkę. To też stary Łukasz, patrząc na to z wysokości swego siedzenia, aż się przeżegnał, jakby zobaczył prawdziwe małe lichy, na śnieg wyskakujące; forys cofnął się przestraszony, a pan Jan, ukąsiwszy się wprzód w usta, aby śmiechem nie parsknąć, ukłonił się owemu strojnemu lichu bardzo pięknie i uczenie, mówiąc po francuzku:

— Jan Sobieski, starosta jaworowski, wojewo-

dzic ruski, prawdziwie uszczęśliwionym się czuje, iż mógł przysługę oddać hrabiance d'Arquien, aczkolwiek żadna to przysługa, choć na krzyk hrabianki w istocie sądziłem ją na wpół już zabita.

— Bo też i ja sama, gdy powóz się obalił, sądziłam, że nie na wpół, ale ze wszystkiem zupełnie jestem zabita i dla tego właśnie tak krzyczałam! — odrzekła mała panna.

Na to jej powiedzenie już obaj wojewodzice w głos się rozśmieli. A tymczasem francuzkie panie otulały gwałtem małą pannę w ciepłe okrycia, służba podnosiła powóz, poczem sprawdzono, że nic nigdzie nie poniosło znacniejszego szwanku i po podziękowaniach, i ukłonach wzajemnych, podroźni rozjechali się, Francuzi udali się do Warszawy, a Polacy do Paryża.

Siadłszy wygodnie i ruszywszy już z miejsca, wyrztał jeszcze z powozu starosta jaworowski za oddalającym się w przeciwną stronę drugim powozem, mówiąc:

— A ot i spotkałem *troskę* moję, bo jeżeli tam na paryzkim dworze małe dzieci takie już uczone bywają, to jacyż tam dopiéro starsi, kawalerowie i damy! oj! podobno prawdziwie nie lada tanecznego mistrza trzeba będzie nam szukać!... — obaj wojewodzice rozśmieli się z téj troski starosty jaworowskiego, a wtém powie Francuzik wzdychając:

— Jakkolwiek odepchnęła mię i spojrzeć na mnie nie chciała, przecież wistocie musi to być prawdziwie wielka dama!

A na to już ramionami wzruszając rzekł star-szy wojewodzie:

— Ot pleciesz *waszmość!* to jest dziecko rozpieszczone, źle wychowane i tyle; pamiętam, siostra nasza jak raz w tymże wieku była, gdy w drodze do Oleska napadły nas wilki całą gromadą; dzie-wczynina zsiniała ze strachu, a wciąż, milcząc jak ryba, nabijała i podawała rusznicę panu wojewo-dzie, a mnie podawała moję pani wojewodzina. Dopieroż przyjechawszy do domu poiła dziecko różnościami pani wojewodzina, a całowała płaczące i pan wojewoda też, bo się tam na prawdziwą chorobę zanosilo z przestachu, a przecież na razie umiało się dziecko zachować przystojnie.

Francuz głową pokiwał, ale zmilczał; a Jan wzdychając rzekł półgłosem, jakby do siebie.

— A taki trzeba się będzie okrutnie brać do galar dy!...

— Ot macie go! spotkał się z troską żywota swego! — rzekł patrząc na brata pan Marek, i obaj rozśmieli się znowu — przepowiednia sprawdziła się.

— A to już i królowa Marya Ludwika musi być niedaleko Warszawy, kiedyśmy onę skutę z jęj damami spotkali — mówił wojewodzie star-szy.



W kilkanaście dni później stanęli młodzi wojewodzice w Paryżu, i bez mentorów, zaszczyt przynosząc mądrym a troskliwemu wychowaniu, ułożyli tryb życia sumiennie wedle ojcowskiej instrukcji, z małemi jeno zmianami w rzeczach, które im były puszczane na wolą. Więc sumiennie pracowali z mistrzami nad stylem, historią, polityką i francuszczyzną, ale pracowali także i nad wyuczeniem się modnych u dworu płasów, do czego pierwszorzędnego mistrza wyszukał domowy Francuzik. To też przyszło na to, że Francuzik odpowiadał z dumą na pytania tuziemców: dla czego jego panowie żyją odmiennie od innych bawiących w Paryżu:

— Dla tego, że moi panowie i koledzy są *pracudziwi* panowie, i jak nigdy nie hulają z waszymi sowizdrzałami, tak też nigdy nie będą z nimi odsiadywać więzienia za długi w naszej pięknej Francji.

Kilka miesięcy szczerzej pracy przy naukach mijało już wojewodzicom nad Sekwaną, gdy pewnego ranka, trochę nagle jakoś, wszedł starosta krasnystawski z listami w rękę do pokoju, w którym pod dyrekcją tanecznego mistrza pan Jan „pracował nogami” wedle własnego obelżywego wyrażenia.

— Listy polecające od króla i królowej! — krzyknął pan Jan, — a dobrze! bo myślę, że i konwersacyi dworskiej i płasom podołamy już zgola! A w Żółkwi u państwa naszych własnych, co tam słyhać?

— Wszystko nieźle, chwała Bogu — odpowiedział brat starszy — oto są listy polecające, a pan wojewoda wstąpił obecnie na krakowską kasztelanią.

— Jaktó! — krzyknął Francuzik, pracujący nad galardą wraz z panem Janem — więc jaśnie wielmożny wojewoda jest obecnie najwyższym dygnitarzem świeckim, jaki w polskim kraju istnieje?

— Tak! — odpowiedział pan starosta jaworowski Jan — a waszmość pomyśl teraz o potrzebnych przyborach, bo kiedy są już listy od miłościwych króla Władysława IV-go i królowej Maryi Ludwiki naszej, to niebawem złożymy należne submisye nasze królowi Francji, aby tém goręcej zbywszy ten dworski kłopot, oddać się naukom, a następnie do celu peregrynacyi pośpieszać.

Francuz wytrzeszczył oczy, i powinszowawszy układnie młodym paniczom nowej ojca godności, która i ich samych na wyższym stopniu dworskiej hierarchii stawiała, zapytał przecież ciekawie panów i kolegów swoich, coby to był za cel peregrynacyi, o jakim wspominał pan Jan? bo wedle Francuzika wyobrażeń, celem tym był właśnie pobyt w Paryżu, edukacja paryzka i przedstawienie

u paryzkiego dworu; więc o jakimże tam jeszcze celu mówił pan Jan? Francuzik pytał, ale nie dowiedział się wiele; dwaj bracia spojrzeli na siebie, i żartami przyjacielskimi zbyli jego pytania, a Francuzik prędko zapomniał tych pytań swoich w nadmiarze zajęć i kłopotów, jakie teraz spadły na niego. Spadły zaś z tego powodu, że wraz z dniem oznaczonym na wystąpienie kasztelanów krakowskich u dworu Ludwika XIV-go, wstępowali oni w szeroko przed nimi otwarty wielki świat salonów paryzkich pierwszorzędnych. Potrzeba było tedy rozmaitych drobiazgowych, ale niemniej wymagających zajęcia przygotowań, a nawet pewnej, choć niewielkiej zmiany w trybie utrzymania; co wszystko kłopotem oparło się o Francuzika, pieniędzmi o szkatułę kasztelańską, a wielkiem jakimś zamyśleniem o serce starosty krasnystawskiego. Mimo to Francuzik mało nie wyskoczył z własnej skóry z wielkiej radości, bo owe trzpiotarskie wielkoświatowe kłopoty były snadź właśnie głównym żywiołem jego natury; a pan Jan Sobieski był serdecznie kontent i wesół, jak ryba w wodzie.

Po dwóch miesiącach wielkoświatowego życia i gęstego u dworu bywania, rozchmurzył czoło przecież i pan Marek, gdy nadszedł list kasztelana krakowskiego, w którym między innemi stało co następuje:

„To też, jakom rzekł, nieskończenie miłem jest sercu rodzicielskiemu naszemu, że każdy list a doniesienie, was, synowie moi, dotyczące, możemy z umysłu głośno rodzeństwu waszemu młodszemu odczytać, ku jego przykładowi a zbudowaniu. Nie tak, jak to z niejednymi paniczami naszymi jest, gdzie rodzice kryć muszą przed młodszymi one smutne o starszych braciach tajemnice, aby żalu nie sprawiać, a złego przykładu nie dawać, gdy starsi owi długami a lekkomyślnością, jeno wstyd, a srom domowi przynoszą. Donieśliście nam o wcale ujmującym a miłym na królewskim francuzkim dworze przyjęciu waszém, a ot świeżo dowiedzieliśmy się, że wystąpienie ono dworskie wasze, nie tylko dobrze się odbyło, ale nawet i efekt zrobiło niemały i polskiej szlachcie zaszczyt. Abyście zaś próżno głowy nie psowali, zkąd o was wiadomość takową mamy, to powiem wam, jako od króla, pana naszego miłościwego i z ust jego własnych. Było ono tak owoż, że gdym z rady odchodził, przybieżał dworski królewski, abym do pana szedł. Idę więc, jako to już pospolita acz zaszczytna rzecz teraz mi jest do pańskiej izby być często wzywany. A był król Władysław tego dnia z francuzka ubrany, choć nie można rzec, aby już ze wszystkiém polskiego stroju dla Francuzki pani naszej zaniedbywał. I siedział król w krześle,



bokiem wedle stołu z księgą się bawiąc i z listy. A zaraz po nad krzesłem królewskim na ścianie był konterfekt trafiony po mistrzowsku królowej Maryi Ludwiki. I rzekł król, ujrawszy mię:

— *A chodźcie no sam na sprawę, mości kasztelanie!*  
(D. c. n.).

## ROZBICIE OKRĘTU, (zdarzenie prawdziwe).

Dnia 25 Lipca r. 1878, statek handlowy „Piękna Ludwika“ (la Belle Louise) wyruszył z Marsylii, wioząc do Gabunu różne francuzkie towary, które tam miały być zamienione na afrykańskie płody, oliwę palmową, kość słoniową i inne podobne przedmioty. Kapitan Darimon, dowódzca okrętu i starszy oficer, p. Fougasse, byli to odważni i doświadczeni marynarze, a „Piękną Ludwikę“ uważano powszechnie w Marsylii za jeden z najlepszych statków handlowych. Załoga składała się z dwudziestu pięciu majtków, lekarza i ośmiu pasażerów, samych mężczyzn. W początkach żeglugi nie przytrafiła się żadna niezwykła przygoda, okręt przepłynął spokojnie błękitne wody Śródziemnego morza, okrążył wybrzeża Majorki i Minorki, przekroczył nie zatrzymując się cieśninę Gibraltarską i śmiało puścił się na fale Oceanu. Piękna Ludwika szybko uchodziła od brzegów marokańskich, gdzie i dziś rabusie morscy często plądrują i napadają na handlowe statki, zatrzymała się na krótko na wyspie Maderze, gdzie miała zabrać resztę ładunku i zapas wyborowego wina na drogę; w parę dni później zarzucono znów kotwicę w małym porcie francuzkim St. Louis na brzegach Senegambii, następnie okręt szybko zbliżył się do równika, tu jednak miał trochę trudności z przebyciem tak zwaną łaką sargassową. Wielka przestrzeń oceanu na zachód od afrykańskich wybrzeży pokryta jest masą wodorostów, unoszących się ponad powierzchnią wody, a dziwna ta łaka morska tamuje drogę okrętom. Pomimo to jednakże załoga okrętowa wyprawiła zwykle przedstawienie przy przebyciu równika. Majtkowie poprzebierani za różne morskie potwory zabawiali się przez kilka godzin śmiesznymi conceptami, nakoniec wszystko powróciło do porządku, cel podróży był już niedaleki. Pewnego rana zerwał się gwałtowny wicher północno zachodni i prąd wody unosić zaczął „Piękną Ludwikę“ w stronę przylądka Lopez. Marynarze zrozumieli odrazu, że się gotuje straszna nawałnica, jeden z tych huraganów, nieznanym w umiarkowanych klimatach, natychmiast

więc zwinęto wszystkie żagle i przedsięwzięto zwykle środki ostrożności. Wkrótce też burza rozszalała się na dobre, ogromne fale podnosiły się, jak góry, miotane rękami Tytanów, wściekle rozbijały się o boki okrętu, który podskakiwał, jak piłka i skakał na wszystkie strony. Kapitan Darimon nie stracił głowy, czuwał nad wszystkim, wydawał rozkazy, załoga dzielnie mu dopomagała, pompowano wodę, zatykano szpary w okręcie, który trzeszczał co chwila, uderzając o skały podwodne, aż wkońcu roztrzaskał się całkowicie i osiadł na cyplu ostrzej rafy, niezbyt daleko od brzegów lądu. Na szczęście wicher w tej samej chwili uspokoił się nieco, łodzie spuszczone na wodę pomieściły wszystkich pasażerów i dowiozły cało do lądu. Gromadka rozbitków wysiadła na wybrzeże Gwinei, w pobliżu ujścia rzeki Ogue. Kapitan Darimon odbył najpierw przegląd swojej załogi, przokonał się, że nikt nie zginął, i przemówił w te słowa:

— Dziękujmy Bogu, żeśmy cało i zdrowo wyszli z tej przygody. Szkoda pięknego okrętu i całego ładunku, ale wszystko to było zabezpieczone, nie straci więc na tym ani właściciel, ani z was żaden, gdyż podamy dokładny rachunek wszystkich szkód. Teraz starajmy się tylko obmyśleć jaknajśpieszniej środki dostania się do najbliższego portu, na prawo lub na lewo. Musimy przedewszystkiem oznaczyć położenie tego miejsca, na którym się znajdujemy. Na szczęście uratowałem wszystkie moje narzędzia i zaraz się zabiorę do tego. A więc wszystko jest w porządku. Ach, żebyż tylko upał trochę ustał, bo słońce ogniem pali; strzeżmy się zapalenia mózgu i śmierci głodowej, a wszystko będzie dobrze.

Majtkowie wyruszyli niezwłocznie szukać żywności, powrócili też wkrótce, niosąc obfitość ostryg, kilkanaście orzechów kokosowych, parę skrzyń z podróżnymi zapachami, które morze wyrzuciło na ląd z okrętowego ładunku, a nawet baryłkę owiej wybornej madery. Pierwszy obiad naszych rozbitków nie pozostawiał do życzenia, brakło tylko czarnej kawy, ale na to już każdy był wyrozumiały. Po obiedzie wszyscy się trochę przespali w cieniu palm nadbrzeżnych, potem znów cała załoga odpłynęła do miejsca, gdzie osiadły na rafach podwodnych szczątki rozbitego okrętu, aby uratować choć część ładunku. Wydobyto szczęśliwie mnóstwo pak z bronią, żywnością i odzieniem. Odszukano nawet na dnie okrętu kilkadziesiąt welocipedów, zamówionych przez kupca gabuńskiego, dla afrykańskiego jakiegoś monarchy, który zamierzał ten wynalazek zaprowadzić w swoim kraju i urządzić nowy rodzaj kawaleryi na welocipedach dla zastraszenia swoich



sąsiadów. Podczas gdy marynarze ładowali bogatą swą zdobycz na łodzie, w obozie ich na lądzie odbywały się niespodziewane, wielce dramatyczne wypadki. Pozostał tam tylko doktor z jednym z pasażerów, obaj wygodnie się ułożyli na miękkiej pościeli z liści i trawy i spali snem sprawiedliwych. Doktor miał przy sobie cały swój majątek, pale-tot trochę przenoszony, pugilares z chirurgicznymi narzędziami, i strzelbę nabitą. Towarzysz jego nie posiadał nawet paltota, nie uratował nic, oprócz odzienia, które miał na sobie, w tej chwili jednak i tak mu było za gorąco, więc także spał najspokojniej, zupełnie zadowolony ze swego losu. Nagle przebudzili się obaj i ujrzeni przed sobą ośmiu murzynów czarnych jak węgiel, których

dze zabrane części odzienia. Marynarze usłyszeli wystrzał i szybko skierowali łodzie do brzegu, doktor z towarzyszem odziewali się tymczasem na prędko, a ujrawszy łodzie, z daleka zaczęli znakami wzywać ratunku.

— Co się stało! — wołał kapitan, wyskakując na brzeg; a dowiedziawszy się o całej przygodzie zaczął się śmiać do rozpuku, gdyż kapitan Darimon nigdy nie tracił dobrego humoru, i reszta towarzystwa nie mogła się od śmiechu powstrzymać. Należało jednak przedsięwziąć środki ostrożności, murzyni mogli lada chwila powrócić w zwiększonej sile, kapitan natychmiast rozpakował broń i rozdał wszystkim strzelby i naboje. Wieczór się zbliżał, rozpalono ognisko na noc, dla odstrasz-



PIELGRZYM.

strój cały składał się z wieńców zielonych, przetykanych jaskrawymi kwiatami, najzabawniej w świecie wyglądających na ogromnych, kędzierzawych czuprynach. Murzyni rzucili się na dwóch europejczyków w mgnieniu oka, rozebrali ich do naga i sami zaczęli się ubierać w zrabowane odzienie. Jeden ustroił się w paletot doktora, obracając go plecami naprzód, co nie musiało być bardzo wygodnie, drudzy rozerwali pomiędzy siebie białiznę i resztę ubrania, dla czterech starczyło po jednym bucie; plądrując na wszystkie strony, jeden z murzynów podniósł strzelbę i tak nieszczęśliwie ją obrócił, oglądając z bliska, że strzał wypadł i zabił go na miejscu. Widząc to reszta zaczęła uciekać, wydając okrzyki przerażenia i rozrzucając po dro-

nia zwierząt drapieżnych, przyrządzono wieczerzę, która z łaski zapasów przywiezionych z okrętu była wspaniała, potem mała gromadka do snu się ułożyła, przez całą noc jednakże zmieniały się strażę, pilnując bezpieczeństwa obozu. O świcie zaczęto się gotować do drogi, każdy zabierał z sobą spory worek, naładowany żywnością i amunicją, podróż miała się odbyć na welocipedach, które w tym razie bardzo się naszym rozbitkom przydały. Z początku nie wszyscy sobie z niemi umieli dać rady, ale wprawili się powoli i mała gromadka posuwała się szybko ku północy, a nigdy jeszcze zapewne spłoszone po drodze ptactwo nie widziało w tej puszczy podobnego pochodu. Gromadka podróżników po dziewięciu dniami szczęśliwie przy-



była do osady francuzkiej, gdzie ją powitały okrzyki zdziwienia całej ludności. W wigilią dnia tego przybył tam właśnie kupiec z Gabunu, a widząc wspaniałe welocipedy, zawołał:

— Ja właśnie wyglądam takiego transportu, wypisałem welocipedy z Marsylii i miała mi je przywieść „Piękna Ludwika.“

— Mam zaszczyt wręczyć je panu osobiście — rzekł kapitan — to są też same.

wnych nawyknień. W cyrku wyprawiano zawsze jeszcze okrutne igrzyska, a na miejscu chrześcijańskich męczenników padały inne ofiary przemocy, rzucone na pastwę drapieżnych lwów, hyen i tygrysów. Lud przenosił nad wszystko te krwawe widowiska, domagał się ich koniecznie, a cesarze nie śmieli odmówić.

Było to w r. 400; zapowiedziano wspaniałe igrzyska, wszystko co żyło śpieszyło do Kolizeum.



A chodźcie no sam na sprawę, mości kasztelanie. (str. 215).

Rozbitki dostali się wkrótce do Gabunu i odpłynęli do portu, a w kilka miesięcy później kapitan Darimon objął dowództwo nowego statku, ochrzczonego tęp samém mianém „Pięknej Ludwiki.“

## Ostatnie igrzyska w Kolizeum.

Już Rzym pogański ukorzył się przed potęgą krzyża, a jednak nie wyrzekł się całkowicie da-

senatorowie, patrycyusze, strojne rzymskie panie, tłumy ludu płynęły jak fale, cyrk zapełnił się po brzegi, nareszcie ukazał się młody cesarz Honorusz, edyle wydali hasło, orszak gladyatorów przeciągnął przed lożą cesarską, zawieszoną purpurowymi obłonami, *Morituri te salutant*, umierający cię pozdrawiają! ozwał się zwykły, ponury okrzyk i nieszczęśliwi, którzy życie poświęcali dla zabawki rozbestwionych tłumów, dobyli mieczów, i gotowali się do boju. A wtém stała się rzecz niesłychana, starzec jakiś, nędznie odziany, prze-



skoczył mur, oddzielający widzów od areny, stanął przed gladyatorami i z mocą zawołał głosem wielkim:

— W imię Boga stójcie, nie przelewajcie krwi bratniej, krwi niewinnej; te igrzyska są grzechem, ciężką obrazą Boga chrześcijańskiego.

Ale publiczność szalonym śmiechem, okrzykami szyderstwa odpowiedziała na te słowa starca. Wreszcie niecierpliwić się zaczęła tą przerwą.

— Na bok, na bok! precz, szalony starcze! — wołano zewsząd i odrzucono go w tył, ale on powrócił i raz po raz rzucał się pomiędzy gladyatorów, nie dając im boju rozpoczynać i coraz groźniej przemawiając w imię Boga. Wówczas tłum zaryczał wściekle:

— Niech zginie! śmierć zuchwalcowi, który śmiał przerwać igrzyska rzymskiego ludu!

A gladyatorowie na rozkaz starszych rozsiekali starca i dalej wrzały igrzyska zwykłym porządkiem. Trup męczennika leżał na arenie, nie mógł już sprzeciwić się okrutnemu widowisku, a jednak ten słaby, ten zamordowany, zwyciężył, siłą ducha pokonał zwierzęcą siłę. Gdy szal przeminał, w tłumie ozwały się wyrzuty sumienia, lud wyszedł z cyrku ponury i milczący, a od tej pory nikt już w Rzymie nie domagał się krwawych igrzysk i w dwa lata potem edykt cesarza Honoryusza zniósł na zawsze walki gladyatorów.

Zkąd się wziął ten bohater, ten święty, który za przykładem boskiego mistrza wydał się na śmierć dobrowolnie dla zbawienia wielu? Historya nie przechowała o nim żadnych dokładnych wiadomości, nawet o imieniu jego niepewne tylko pozostały wieści, jedni go zowią Alimachem, drudzy Telemachem. Nikt go nie znał w stolicy Cezarów, przybył z dalekiego Wschodu, zapewne przygnany z owemi tłumami niewolników, których spędzano do Rzymu ze wszystkich stron świata i zaprzęgano do ciężkiej pracy, do budowania łuków tryumfalnych, wspaniałych łaźni i cyrków. Może też przyszedł, jako pobożny pielgrzym, odwiedzić groby męczenników, którzy zginęli na arenie cyrkowej i serce jego wezbrało żalem i świątobliwą zgrozą, gdy ujrzał przygotowania do nowych okrucieństw. Więc postanowił koniec im położyć, starzec bezbronny w imię Boże stanął śmiało w obec potęgi tego świata i do walki z nią wystąpił. Położył życie w obronie słuszności i zwyciężył.

Mijały wieki, a bohater chrześcijański spoczywał w cichym swym grobie, zapomniany od ludzi, dopiero w bieżącym wieku kościół uczcił jego pamięć. Po czternastu wiekach milczenia, Kolizeum ożywiło się na nowo gwarem i ruchem, znowu je po brzegi zappełniły tłumy, lecz jakże odmiennym uczuciem wiedzione! Zamiast dzikiej wrzawy

brzmiały pobożne pieśni, dym kadzideł wznosił się do nieba, uroczysta procesya z krzyżem na czele postępowała na tej arenie przesiąkniętej krwią niewinnych ofiar. Zwłoki świętego męczennika złożono w kościele San Clemente.

## WIADOMOŚCI POŻYTECZNE

### O ZACHOWANIU ZDROWIA.

— Panie doktorze, czy to prawda, że cukierki i ciastka są bardzo szkodliwe i że wszelkich słodyczy trzeba zawsze jeść jaknajmniej? — pytała raz Helenka, która korzystała z każdych odwiedzin zacnego przyjaciela domu, aby zasięgnąć od niego pożytecznych wiadomości.

— Józio śmieje się z tego i powiada, że dla zdrowego wszystko jest zdrowe i że nie trzeba się pieścić, ale jeść, co się ma pod ręką, nie myśląc o tem czy to zaszkodzi, czy nie.

— Józio nie zupełnie się myli, ale też i nie zupełnie ma słuszność — odzekł doktor, ze zwykłą swoją uprzejmością — śmiesznie byłoby, gdyby ktoś ustawicznie przebierał w potrawach, wystrzegał się każdej rzeczy dla tego, że czasem zaszkodzić może, ale nierozsądnie jest także jeść wszystko bez najmniejszego wyboru, to się nazywa żarłoczstwem i nie przystoi człowiekowi.

— Ja też, panie doktorze, wcale Helenki nie namawiałem do żarłoczstwa, bo wiem, że to nie uchodzi, zwłaszcza dla panienki — rzekł Józio.

— A mnie się zdaje, że i dla chłopca nie uchodzi — mówiła siostrzyczka żartobliwie — pocóż znów chłopcy mają być podobni do...

— A zaraz jakieś niegrzeczne porównania, bardzo proszę — przerwał Józio.

— Trzeba jednak przyznać — mówił doktor — że jeśli już idzie o żarłoczstwo, to człowiek ma do tej brzydkiej wady daleko więcej skłonności od wszystkich na świecie zwierząt. Nie mówiąc o pewnym zwierzątku, które zapewne Helenka wymienić chciała, i które jest wszystkożerne, a ztąd więcej od innych zwierząt do człowieka się zbliża...

— Ach, co też pan doktor mówi — przerwała Helenka.

— Mówię czystą prawdę; ale proszę nie przerywać. Pomijając więc świnkę, zastanówmy się tylko, czy widział kto, żeby krowa złakomiła się na mięso, albo kot na owoce? Zwierzę rządzi się swoim instynktem i bardzo mu z tem dobrze, bo nigdy nie je pokarmów niezdrowych, niewłaściwych swjej naturze i nie choruje z niestrawności, jak człowiek, co to niby ma rozum.



— Niby—powtórzyła Helenka, trochę urażona — jaki pan doktor złośliwy.

— Cóżem ja temu winien, że tak często spotykam ludzi, chorujących z własnej winy. Ile razy mnie, budzą w nocy do chorego, zwykle zapytuję go na wstępie, czy jadł sutą wieczerzę i prawie za każdą razą dowiaduję się, że to główna przyczyna choroby.

— Panie doktorze—rzekła Helenka — odbiegliśmy zupełnie od przedmiotu. Ja się pytałam, czy cukierki i ciastka są bardzo szkodliwe dla zdrowia i czy należy wystrzegać się wszelkich słodczy?

— Tego nie powiem — odpowiedział doktor — przeciwnie, żołądek potrzebuje cukru, dla czegożby cukier w ciastkach i cukierkach miał być mniej zdrowy, niżeli w herbacie lub kompotach, nikt przecież nie uważa osłodzonej herbaty lub kompotu za pokarm szkodliwy. Ale niezdrowo jest zjadać cukierki i ciastka przez cały dzień; w ogóle zły to bardzo zwyczaj jeść zbyt często, bo powinna być pora oznaczona na śniadanie, na obiad, na podwieczorek, pocóż jeść w innych godzinach? Jest stare, a bardzo mądre przysłowie, że człowiek powinien jeść po to, żeby żył, a nie żyć po to żeby jeść. Wprawdzie takich smakoszków nie wielu chyba się znajdzie, co by całe życie myśleli wyłącznie o jedzeniu, ale człowiek rozsądny nigdy nie powinien jeść przez łakomstwo, tylko dla zaspokojenia głodu; kto nie głodny, niech nie je.

— O, panie doktorze, to trudno; przecież głodnemu nie chce się ciastek i cukierków, a więc według tej reguły, nigdy by się chyba tych dobrych rzeczy nie jadło — zauważyła Helenka.

— Pan doktor sam sobie przeczy — dodał Józio z figlarnym uśmiechem — dziś po obiedzie pewnie już nie był głodny, a jednak zjadł jeszcze pomarańczę i wypił czarną kawę z wielkim smakiem.

— A to prawdziwy kłopot z wami — mówił śmiejąc się doktor — toż mię dopiero podchwycili za słowa. Ale poczekajcie, zaraz się z tego wytłómaczę. Nie jestem ja tak surowy, ani dla siebie ani dla innych, ażebym uważał to za żarłoctwo, jeśli ktoś, nie będąc głodnym, orzeźwi się owocem, lub dla strawności wypije filiżankę czarnej kawy, zresztą zje jakiś słodki przysmaczek. Jednostajne jedzenie, choćby najzdrowsze i najsmaczniejsze, przykrzy się ludziom; wiecież dla czego? to nie są wcale grymasy smakoszków, ale instynkt przestrzegający człowieka, że jego organizm potrzebuje różnaitości w pokarmach, nie może więc poprzestać na samym chlebie, ani na samem mięsie, potrzebuje też i słodczy i przypraw różnych. Pojmujemy to najlepiej, gdy się zastanowimy, że jedzenie jest odżywianiem naszego ciała; pokarmy strawio-

ne w żołądku i kiszkiach, przerobione i przemienione zupełnie, wchodzą w krew, a ze krwi dostają się wszędzie, odnawiają kości, mięśnie, skórę, jednym słowem całą budowę, z której się ciało ludzkie składa. Wyobraźmy sobie gmach złożony z niezmiernego mnóstwa drobnych cegiełek ruchomych i takie dowcipne urządzenie, że jak tylko która cegielka się psuć zaczyna, zaraz się wysuwa i odpada, a na jej miejsce wsuwa się świeża i tak ciągle i wszędzie, od dachu, aż do podstawy. Pośtać gmachu nic a nic przytém się nie zmienia, a wszystko tak szybko i nieznacznie się odbywa, że spostrzedz tego niepodobna. Taką budową jest nasze ciało, a przemiana cegiełek, to jest niedojrzanych cząsteczek, nigdy w niem nie ustaje ani na chwilę. Świeże cząsteczki przybywają nam z pokarmów, które za pomocą trawienia i oddychania wchodzą do krwi, a krew dostaje się wszędzie, stosownie do potrzeby organizmu i każdą tkankę zasila i odżywia.

— To jednak doprawdy rzecz dziwna i niepojęta, żeby taki kotlet, albo kartofel, albo kawałek chleba, mógł się przemienić do tego stopnia i wejść do składu naszego nosa, albo palców.

— Dziwne to zapewne, niepojęte jednakże nie jest dla tych, którzy znają skład ciał roślinnych i zwierzęcych, gdyż wszystkie te ciała składają się z materjałów jednakowych. W rozlicznych tkankach roślin i zwierząt wszelkiego rodzaju znajdujemy zawsze cztery główne pierwiastki: najpierw i przedewszystkiém węgiel, bez niego się nie obejdzie najdrobniejsze źdźbło trawki, ani muszka najmniejsza, a potem trzy gazy, azot, tlen, wodor. Domieszki ciał innych mniejsze już mają znaczenie. Ale też same cztery ciała w tak osobliwy sposób łączą się z sobą i mieszają w rozmaitych proporcjach, że całkiem odmienne przybierają postaci. Pojmujecie, iż do odżywiania ciała koniecznie potrzebne są wszystkie główne pierwiastki, węgiel, chociaż najpożyteczniejszy, nie wystarczyłby do podtrzymania życia bez azotu. Trzeba wiedzieć, że w mięsnych potrawach większa jest stosunkowo ilość azotu, a w roślinnych węgla, tłuszczu zaś, cukier, mączka, czyli krochmal wcale w sobie nie zawierają azotu. Można więc pokarmy podzielić na dwa główne rodzaje, azotowe i bezazotowe, jedno i drugie koniecznie są potrzebne, a oprócz tego i z państwa mineralnego niezbędną do życia jest woda i drobna ilość soli. Gdyby kto chciał się wykarmić samym cukrem, krochmalem, masłem i oliwą, nie mógłby żyć długo na takiej dyecie. Ale nie wyżyłby także, gdyby znów wyłącznie jadł pokarmy pozbawione całkowicie tłuszczu, lub gdyby nie pił wody.

— Jak byłam małą dziewczynką — mówiła



Helenka — myślałam sobie nieraz, jakby to dobrze było żeby mi mama dała na śniadanie cukierki, na obiad cukierki i na podwieczorek także. Zdawało mi się, że chętniebym na tém poprzestała. Nie mogłabym jednak była tém wyżyć, ale ja wtenczas jeszcze nic o azocie nie wiedziałam. Teraz już wiem, dla czego to mama różne potrawy na obiad dysponuje i wszystko każe robić na maśle; bo trzeba, żebyśmy wprowadzili do naszego organizmu, jak powiada pan doktor, i azotowe pokarmy i potrzebną ilość tłuszczu.

— Niezawodnie; najzdrowsze też zawsze dla każdego są takie pokarmy, które łączą w sobie wszystkie pożyteczne pierwiastki, i azotowe i tłuszczowe. Do takich na przykład należy mleko; dla tego to małe dzieci mogą niem żyć, nie jedząc nic więcej, a i starszym w niektórych chorobach dyeta wyłącznie mleczna bywa zalecana. Jajka mają także w sobie wszystkie części do odżywienia niezbędne i stanowią pokarm bardzo posilny i zdrowy.

— Nie rozumiem tylko, panie doktorze — zauważył Józio — dla czego to człowiekowi ma szkodzić, gdy je za dużo lub za często, choćby najzdrowsze potrawy.

— To przecież łatwo bardzo zrozumieć. Czyż nie domyślacie się, co by się stało, gdyby kto w młynie na przykład nasypał daleko więcej zboża, niż kamienie zemleć mogą. Mechanizm zatrzymałby się, a może i popsuł. I żołądek nasz nie ma nieskończonej siły trawienia, cóż dziwnego, że szwankować zaczyna, jeśli mu dajemy za dużo roboty.

— Teraz już wiemy wszystko, panie doktorze.

— Wszystko! oho, nie tak to łatwo wszystko wiedzieć, jak się wam zdaje — rzekł doktor kiwając głową.

— No, to się tylko tak mówi, panie doktorze — mówiła Helenka — przecież nieraz jeszcze pan nam opowie coś ciekawego o sposobach zachowania zdrowia.

*M. J. Z.*

## WAŻNIEJSZE DATY HISTORYCZNE.

- R. 993.** Bolesław I Chrobry wstępuje na tron.
- R. 994.** Bolesław, książę czeski, zdobywa Kraków.
- R. 997.** Ś-ty Wojciech ponosi śmierć męczeńską. W tym samym roku sprowadzeni przez króla polskiego Benedyktyni osiedlają się na Łysiej górze.
- R. 999.** Bolesław Chrobry odbiera Kraków; o koronę królewską do Papieża wysyła.

**R. 1000.** Cesarz Otton przybywa do Gniezna, koronę wkłada na skroń Bolesława.

**R. 1011.** Bolesław rozpoczyna wojnę z cesarzem Henrykiem.

**R. 1013.** Zawiera z nim pokój w Merseburgu.

**R. 1014.** Zwycięża Pomorzan.

**R. 1017.** Pomaga Światopełkowi, księciu kijowskiemu, wygnanemu przez brata i wprowadza go do Kijowa.

**R. 1019.** Po raz drugi wygnanego Światopełka na tron powraca, wchodzi do Kijowa, szczerbcem bramę złotą naznacza, słupy żelazne zabija w Dnieprze.

**R. 1024.** Znużony trudami, Mieczysławowi, synowi z Judyty węgierskiej, rządy państwa zdaje.

**R. 1025.** Umiera w Poznaniu i tamże pochowany.

Znakomitsi monarchowie w innych krajach za panowania Bolesława Chrobrego w Polsce.

Cesarz niemiecki Henryk II ostatni z domu Saskiego.

Król węgierski Stefan Ś-ty.

Książę kijowski Światopełk I.

Ważniejsze zdarzenia w świecie.

Kanut, król duński, zdobywa Anglią.

## WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WŚRÓD PUSZCZY

Przygody podróżników w Australii.

(Dokończenie).

Okrzyk zgrozy i rozpacz wyrywa się z naszych piersi, każdy chwytą mimowoli za broń i bieży na brzeg, niestety! niema żadnego ratunku, parowiec odpłynął, uwożąc skarby wygnańca i pozostawiając nas na tém odludném wybrzeżu na łasce losu. Jakby na szyderstwo, niegodziwcy zrywają flagę angielską, a natomiast wywieszają czarną, ponurą chorągiew rabusiów morskich!

Szaffer nie powrócił, pojechał z nimi, łatwo się domyślić, że wszystko to jego sprawa. Wkrótce też cała rzecz wyjaśnia się ostatecznie; ów Niemiec, który wraz z Szafferem jeździł do stacyi telegraficznej, pada na kolana przed swoim panem i błady, drżący, zeznaje wszystko.

— Zabij mię pan — mówi ten nędznik — zasłużyłem na to, należałem do tego strasznego spisku, a oto Szaffer i mnie także zdradził i opuścił.

— Jakto, Hermanie — mówi sir Reed z głębokim żalem — ty, którego obsypałem dobrodziejstwami, któryś nigdy jeszcze nie zawinił!



— Ten zbrodniarz mię skusił, a bardziej jeszcze nastraszył. Anglik Wiliam padł ofiarą swęj wierności, gdyż nie dał się namówić do zdrady i Szäffer go zastrzelił. To nieprawda, że nas dzi-cy napadli, wszystko było udane.

— Teraz już wyznam panu — mówi dalej Herman — że cała ta sprawa od dawna była ukartowana. Pamięta pan zapewne, jak Szäffer kiedyś, jeszcze na początku podróży, odjechał był na koniu i gdzieś bawił długo, a potem udawał, że polował na strusie. Jak się później dowiedziałem od niego samego, gdy przyrzekłem mu dopomagać, jeździł on wtedy do stacyi telegraficznęj i dał znać swojemu współnikowi, kapitanowi robójniczego okrętu, aby miał wszystko w pogotowiu, gdyż przewidywał, że skarby będą przewożone drogą morską do Melbournu. Teraz jednakże przyszedł mu lepszy pomysł do głowy i wezwał rabusiów, aby je bez wszelkięj ceremonii zagarnęli.

— Hermanie — rzekł smutnym głosem sir Reed — wina twoja jest wielka, ale dostatecznie już ukarany zostałeś. Oby ci Bóg przebaczył, jak ja ci przebaczam.

— O, panie — wołał nieszczęśliwy, zalewając się łzami — wołałbym, żebyś mię pan ukarał, żebyś mię zabił, jak psa, bo zasłużyłem na to; ale kiedy pan, zamiast mścić się nademną, przygniatasz mię swoją wspaniałomyślnością, ja sam wymierzę sobie sprawiedliwość.

I mówiąc to, przyłożył do własnego czoła lufę pistoletu; byłby się niezawodnie zabił na miejscu, gdyby był nie poskoczył w temże samém mgnieniu oka i nie wyrwał mu broni z ręki.

— Szaleńcze — zawołałem — jakież masz prawo rozporządzać życiem, które otrzymałeś od Boga na to, abyś był użyteczny na świecie. Żałujesz swego występku, ale to nie dosyć, staraj się wynagrodzić dobremu twojemu panu miłością i poświęceniem krzywdę, którą mu wyrządziłeś.

Miss Marya, jak anioł przebaczenia, zbliżyła się do nieszczęśliwego winowajcy, nie wiem, jakie słowa pociechy szeptała mu półgłosem, ale po tęg rozmowie Herman zalany łzami, ucałowawszy rąbek jęg sukni, przyrzekł, że nie będzie więćej nstawał na swoje życie.

Wielkie to nieszczęście spotkało nas niespodziewanie, a jednak nikt nie upadł na duchu; ci nawet, których dotknęło najwięćej, znosili je z męstwem i rezygnacją. Wszystkie nadzieje młodych spadkobierców spełzły na niczém i to w chwili, gdy już je uważali za spełnione. Nie tyle ich bolała strata majątku, ile smutne przeświadczenie, że trudnięj im będzie spełnić gorące pragnienie ojca i oczyścić z hańbiącego zarzutu jego pamięć. Lecz i w tęg nawet umięją się zgodzić

z wolą Bożą. Nie rozpaczają, nie narzekają, starają się pocieszać towarzyszy, którzy jedynie przez poświęcenie dla nich narazili się na tyle trudów i niebezpieczeństw.

Położenie nasze jest bardzo smutne; nie mamy żadnych zapasów żywności, prochu niewiele nam pozostało, wybrzeże morskie, na którém się znajdujemy obecnie, ma klimat bardzo niezdrowy; łatwo to poznać po wyziewach zgniłych, wydobywających się z bagnistych nizin; malaria tu musi się unosić w powietrzu. Krzepimy się jednak, jak możemy.

Najpierw trzeba się ztąd oddalić jaknajśpiesznięj; dzięki Bogu wszyscy się czujemy zdrowi, pójdziemy więc pieszo wzdłuż wybrzeża, niezbyt daleko jest główna stacya telegraficzna, za parę dni najdalej się tam dostaniemy, a wówczas obmyślimy jakieś środki dostania się do najbliższego portu.

— Drogie dzieci — mówi sir Reed do synowców swoich i synowicy — rad jestem bardzo, że tak mężnie stawicie czoło przeciwnościom. Ogromny majątek nie wbił was w łpychę, a teraz, utraciwszy go, nie wpadacie znów w rozpacz; to dobre, tak powinni czynić ludzie rozumni i szlachetni. Wkrótce zapewne dostaniemy się do Melbournu, nie odjeżdżajcież ztamtąd do Anglii, nie opuszczajcie mnie. Jestem starcem samotnym, bądźcie mojęmi dziećmi, wszystko co posiadam stanie się waszą własnością, nie mam innych spadkobierców. Zapewne, mój majątek nie może iść w porównanie ze skarbami, które wam ojciec zostawił, ale skoro te wam wydarto, ja szczerém sercem ofiaruję wam dom mój, opiekę i całe moje mienie.

Podczas gdy Ryszard i Marya ze łzami wdzięczności i rozrzewnienia rzucają się w objęcia stryja, Edward zdaje się słów jego nie słyszeć, wzrok jego wlepiony jest w dal, jakby szukał czegoś na morskich falach, na samym krańcu widnokręgu.

— Stryju, panowie — rzecze młody marynarz z lekkim drzeniem w głosie — nie wiem sam, czy mię oczy nie mylą, ale zdaje mi się, że tam daleko, na pełnég morzu, dostrzegam lekki obłoczek dymu. Niebo jest zupełnie pogodne, to nie może być chmurka.

Wszyscy spoglądamy w tęg stronę, lecz darmo wzrok wyteżamy, nie możemy nic dojrzeć na czystym błękitie nieba. Musi to być złudzenie, a jednak nowa nadzieja serca nasze ożywia; czyżby to był okręg?

— Cós mi się zdaje, że Edward ma słuszość — odzywa się porucznik Robarts, który z angielską flegmą wyjął pomaleńku lornetkę z futeraliku i długo wpatrywał się w przestrzeń oddaloną — Tak, tak,



nie ulega wątpliwości, okręt przepływa niedaleko od brzegów.

— Nie traćmy czasu! — woła Edward — trzeba mu dać sygnał. Prędko, rozpalcie ogień, podawajcie suche gałęzie, ale i liście także, ażeby było jaknajwięcej dymu. Tomie, włącz jaknajśpieszniej na to wysokie drzewo, zawieś na niem tę naszą flagę. Prędjéj, prędzej, idzie tu o nasze ocalenie!

— Ale na cóż flaga, wszak prędzej spostrzeżę ognisko z okrętu — rzekł Robarts.

— Ognisko mogą wziąć za obóz ludożerców, ujrząwszy flagę angielską, poznają, że tu rozbitki wzywają ratunku.

— Masz słuszość, szybko więc do dzieła!

Nikogo jednak nie potrzeba przynaglać do pośpiechu, ognisko rozpalone jest w mgnieniu oka, kłęby czarnego dymu buchają wysoko, a i dym z okrętowego komina coraz wyraźniej ukazuje się na widnokręgu. Nie, to nie jest złudzenie, widzimy już teraz i maszty, rysujące się na tle jasnego nieba, wspaniały statek wynurza się z wolna z oddalonych przestrzeni, jest to wielka fregata pancerna, angielska flaga powiewa dumnie na maszcie. Edward nie spuszcza z oczu statku, przypatruje mu się pilnie przez lornetkę, na twarzy jego, pomimo wielkiego panowania nad sobą, widać gwałtowne wzruszenie, młody marynarz umie z daleka rozpoznać każdy większy statek wojenny angielski.

— Majorze — mówi drżącym głosem — to jest „Królowa Wiktoria“!

— „Wiktoria“! — powtarza major, niemniej wzruszony — czy być może.

— Tak, to statek, którym dowodzi brat pański, kapitan Harwey.

— Oho! — woła major z zapałem — jeśli tak, widać że jest sprawiedliwość na świecie. Poczekajcie rabusie, jeszcze między nami sprawa nie skończona. „Wiktoria“ ma porządne armatki, a dzielny jej dowódca już nie jednego rabusia morskiego pochwycił i przykładnie ukarał.

Nie upłynęło i kwadransu, a już znowu szalupa okrętowa zmierzała do brzegu; wyjaśniliśmy majtkom w kilku słowach nasze położenie i nie tracąc czasu odpłynęliśmy do okrętu.

— A sztandar nasz! — zawołał porucznik Robarts, gdy łódka odbiła od brzegu — żołnierz nie powinien opuszczać sztandaru. Żwawo, Tomie, wylaż na drzewo i zdejm z niego naszą chorągiew.

Kapitan okrętu wyszedł sam na pokład, na spotkanie nasze; wielkie było zdziwienie jego, gdy poznał na łódce brata, z którym dawno się nie widział.

— A ty co tu robisz, Henryku? — zawołał — a toż prawdziwie przyjemna niespodzianka.

Major po krótkim i serdeczném powitaniu przedstawił nas bratu i przystąpił natychmiast do wyjaśnienia mu, jakie nas spotkało nieszczęście. Tymczasem Edward poznał już pomiędzy młodymi oficerami marynarki kilku swoich kolegów, którzy są uszczęśliwieni z tego spotkania. Wszyscy, znajomi i nieznajomi, przyjęci jesteśmy z równą serdecznością, kapitan sam odprowadza miss Maryę do najwygodniejszego pokoiku, każe nam podawać posiłek, najlepsze wina, rozpytuje się o nasze przygody.

— Powiadasz, Henryku, że ten okręt nazywa się „Alicya“? — mówi kapitan — znam go dobrze, to wyborny parowiec, jak strzała pomyka po morzu, a ten łotr, kapitan jego, a raczej herszt rabusiów, Bob Dawison, jest zaakomitym marynarzem.

— A to rozpacz prawdziwa; kiedy tak, to nie ma żadnej nadziei — rzecze major ze smutkiem.

— Poczekaj no, braciszku, nie rozpaczaj jeszcze. Ja ci mówię, że dogonimy tego hultaja i ukarzymy go przykładnie, a skarb będzie zwrócony prawym spadkobiercom.

— Oby się sprawdziły słowa twoje, kochany bracie.

— Rad jestem bardzo, że mi się nadarza sposobność rozprawienia się z nim raz przecież. Już dawno mam go na oku, ale na nieszczęście nigdy nie mogłem go złapać na gorącym uczynku. Teraz przynajmniej nie zabraknie mi dowodów ani świadków.

Kapitan Harwey szczęśliwym zbiegiem okoliczności krążył dokoła tych brzegów, dla wykonania pewnych pomiarów. Okręt jego wybornie jest uzbrojony i niezwłocznie puszczamy się w pogoń za rozbójnikiem. „Alicya“ wyprzedziła nas o siedm godzin, nie prędzej więc, jak za dwadzieścia godzin ją dogonimy. Bob Dawison ani się spodziewa, że wojenna fregata mu zagraża i teraz musi sobie płynąć spokojnie zwyczajną drogą, nie obawiając się niczego. Kapitan Harwey zna dobrze małe zatoki, w których wypoczywają mniejsze statki i różne kryjówki, gdzie się chronią rozbójnicy morscy. W Bogu nadzieja, że odszukamy tych łotrów.

Kapitan oznajmił swoim marynarzom, że się puszczamy w pogoń za rozbójniczym okrętem, wielką to im sprawia uciechę, gorliwie się wszyscy gotują do téj wyprawy, parowiec przyspiesza biegu, z szybkością strzały pruje morskie fale, nadzieja w serca nasze wstępuje. Musimy jednak uzbroić się w cierpliwość, los nasz nie rozstrzygnie się przed jutrem. Pod kotłem pali się, jak w hucie, armaty nąhite groźnie wychylają paszcze, osada



okrętowa pod bronią, majtek na szczycie masztu nieustannie czuwa; niecny złoczyńco, nie ujdiesz przed karzącą ręką sprawiedliwości!

Pomimo znużenia nikt oka zmrużyć nie może przez noc całą. Z wieczora długo przeciągnęła się ożywiona rozmowa, opowiadaliśmy przygody nasze marynarzom, a mamy co opowiadać, na koniec dniem już białym rozchodzimy się do wyznaczonych nam pokoiów i po raz pierwszy po kilku niesiącach, z nieopisaną rozkoszą wyciągamy się w prawdziwych łózkach okrętowych, a lekki ruch morskiej fali do snu nas kołysze. Sen to był maczny i przeciągnął się aż do południa, bylibyśmy pewnie i dłużej jeszcze zaspali, gdyby nas nagle nie przebudził niezwykle hałas na okręcie. Brazu nie mogłem zrozumieć co się stało, ani przypomnieć sobie gdzie jestem, zerwałem się na równe nogi i wnet oprzytomniałem, a do uszu moich doleciał donośny okrzyk.

— Do broni! do broni! już widać okręt rozbójniczy!

W jednej chwili byłem ubrany, skoczyłem na komost, po mnie zaraz nadbiegł major, obaj pomocnicy i Ryszard, Edward już przedtém był na stanowisku razem z innymi marynarzami. Kapitan wydaje rozkazy, dokładają węgla pod kocioł, okręt pomyka, jak ptak. Ale i rabusie nie muszą łowić opału, „Alicya“, poznajemy ją wszyscy, ucieka z zadziwiającą szybkością. Rozpoczynają się prawdziwe wyścigi. Fregata jest daleko cięższa pomimo wysień, zaczyna już w tyle zostawać. Ówczas kapitan każe dać ognia z armat, parę minut dosięga okrętu i maszt rozstrzaskany obala się w wodę; rabusie rozzuchwaleni wywieszają swoją flagę i odpowiadają także wystrzałami armatnimi.

— A, łotry! zbrodniarze! — woła kapitan — tego im nie daruję; w puch rozbiję tę łupinę! Żaden z nich nie wyjdzie żywy z tej walki.

— Zlituj się, bracie — odzywa się major — cóż się stanie ze skarbem, jeśli rozbijesz okręt?

— A niech idzie na dno morskie — odrzecze kapitan — tam go już z pewnością nikt nie odnajdzie.

— Mniejsza o skarb — woła z zapalem młody marynarz Edward — lepiej niech przepadnie to wszystko, bylebyśmy skarcili śmiałków.

— Pięknie mówisz, młodzieńcze — rzekł kapitan, kładąc mu rękę na ramieniu — obowiązek przedewszystkiem. Ognia, ze wszystkich armat!

I znów ogłuszająca kanonada wstrząsa naszym okrętem, a na statku nieprzyjacielskim straszne widać zniszczenie.

Ale cóż to znaczy? Alicya, która pomykała taką szybkością przed nami, raptem zaczyna

zwalniać biegu, a na twarzy kapitana fregaty zaigrał dziwny uśmiech.

— Wstrzymać fregatę! spuścić szalupę na wodę!

Rozkazy te natychmiast są wykonane. Teraz dopiero zrozumiałem, co się dzieje. W tém miejscu dno morskie znacznie się podnosi, a pod wodą sterczą gęsto rafy koralowe. Niebezpieczeństwo grozi tu na każdym kroku nieroztropnym okrętom, które się zapuszczają w ten labirynt.

— Bądź spokojny, bracie — mówi kapitan, biorąc pod rękę majora — teraz się już Bob Dawison nie wykręci.

— Wolałbym jednak — odpowiada major z westchnieniem — żeby można było uratować majątek tych pocziwych dzieci. Wyprawa po te skarby tyle nas trudów kosztowała, a teraz to wszystko pójdzie na pastwę rekinów.

— Ręczę cię, braciszku, że rekiny więcej z tego względu mają rozumu od ludzi; żaden z nich pewnie nie złakomi się na to złoto.

Okręt rozbójniczy płynie ciągle naprzód, chociaż znacznie wolniej, może ma nadzieję przedostać się przez rafy, może rozpacz popycha go do zguby. I wnet w oczach naszych spełnia się smutne jego przeznaczenie, wielka była zbrodnia, ale i kara okropna; statek uderza dnem o wystającą, ostrą skałę, odskakuje, chwieje się, jak pijany człowiek, uderza po raz drugi i z wolna zaczyna się zanurzać w otchłań morską. Straszliwe zamieszanie panuje na pokładzie, odczepiają szalupę, osada okrętowa tłoczy się, popycha, połowa wpada do wody, reszta próbuje ratować się ucieczką, ale łódka nie ma drogi swobodnej i musi brnąć dalej pomiędzy ostremi cyplami skał, na których także wkrótce się rozbija.

— Już po wszystkiém — mówi kapitan.

— Szkoda jednak tych milionów — odzywa się major — chociaż tam są bezpieczne od złodziei, a i od rekinów, jak upewniasz, bracie.

Kapitan uśmiechem tylko na to odpowiada.

— A teraz niech szalupa odpływa, już pora! — woła donośnym głosem.

Ach! rozumiem. Spostrzegam na tej szalupie wyborne przybory nurków, skafandry, mocne liny, miliony nie przepadną, oni je wyciągną z dna morskiego w całości!

W rzeczy samej wszystkie paki, tak starannie powiązane przez Australczyków, jeszcze przed wieczorem spoczywały bezpiecznie na spodzie fregaty, a nazajutrz rano Królowa Wiktorya wolniej już wypłynęła na pełne morze, okrążając z daleka ląd Australski i w parę tygodni wysiedliśmy w Melbourne, a skarby wygnańca złożone zostały tymczasowo w banku angielskim.



## ZAKOŃCZENIE.

Spędziliśmy jeszcze w Melbournie całe dwa miesiące. Tu już żadne nadzwyczajne przygody nas nie spotykały, nie bardzo mi się jednak przykryło na bruku miejskim. Ale zaszły w tym czasie w życiu głównych bohaterów tego opowiadania ważne zdarzenia, o których, z obowiązku wiernego dziejopisa, muszę czytelników moich zawiadomić.

Pewnego rana w miejscowym kościele S-tój Elżbiety odbyły się razem dwa śluby. W orszaku znajdowali się wszyscy, z których się składała podróżna nasza karawana, a oprócz tego doktor Stephenson, gdyż nie odjechał jeszcze i razem z nami puszcza się z powrotem do Europy za dni kilka dopiero. Dwie młode pary, które stają jednocześnie przed ołtarzem, to miss Marya z porucznikiem Robartsem i wierna jej służąca Kelly z moim Cyrylem. Poczciwiec dopiero po ślubie dowiaduje się, że żona jego ma duży posag, bo dobra pani udziela jej częśćkę swoich skarbów.

Sir Reed powraca do osady Trzech Zródeł i myśli tylko o tém, żeby się znowu dostać do kraju Nga-Ko-Tko i spełnić obietnice dane Józefowi.

## Łamigłówa zgłoskowa (W. V.).

Uą ą e eay ay ieeay.  
u eie iay,  
I uoei ie i ai ooe  
aye ay oe.

Dodawszy do tych samogłosek brakujące spółgłoski, utworzymy strofę z Trenów Kochanowskiego.

## Łamigłówa w kwadraciku. (M. U.)

W kwadraciku z 16 podziałek pomieścić;  
6 A — 2 O — 2 R — 2 L — 1 P — 1 M — 1 N —  
1 K — aby utworzyć w obu kierunkach: 1) Część  
drzewa, 2) Drogi kamień, 3) Dodatek do obrazu,  
4) Imię.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

## Łamigłówa zgłoskowej:

1. Ślub. 2. Tanganika. 3. Emeryt. 4. Futro.  
5. Amur. 6 Narcyzy. STEFAN BATORY.

## Szarady:

Marzec.

## Łamigłówa w kwadraciku.

p	o	l
o	d	a
l	a	m

## Odpowiedzi od Redakcyi.

**Kaziowi R. w Troickosawsku.** Liścik porządnie i czysto pisany wielką nam sprawił przyjemność, dziękujemy też bardzo za obietnicę, że drugi będzie zawierał szczegółową wiadomość o tém, co się w naszym Piśmie najlepiej podoba małym czytelnikom, którzy w tym roku mają dla siebie osobny dodatek. Braciszek starszy, który z taką gorliwością rozwiązuje zagadki historyczne, wcale nie jest śmieszny i radzimy najszerzej miłośniczemu rodzeństwu iść w jego ślady. Wszystkie autorki, piszący do Wieczorów, dziękują za pamięć o nich.

**Władysławowi R. w Troickosawsku.** Rozwiązanie zagadki historycznej jest bardzo dobrze napisane i dla tego tylko nie było wymienione w właściwym miejscu, że nadeszło za późno. Pięknie to bardzo, że kochany nasz korespondent, nie dla nagrody, ale jedynie dla pożytku własnego tyle sobie pracy zadaje.

**Borsukowi z Jamki.** Chociaż kochani nasi korespondenci nadsyłają nam mnóstwo łamigłówek, staramy się jednak nie mieszać w Piśmie naszym wszystkie te, które są dobrze ułożone, ale *borsukowi* nie lepiej się udało od *wróbelka*, bo najpiękniej wyraz *cel* nie zaczyna się od *h*, a potem jedna litera nie może stać się całego wyrazu. Nigdy jednak pierwszą próbą zrażać nie należy, ale przypatrzeć się dobrze zagadkom, w Piśmie naszym drukowanym i podług tego wzoru układać nowe, a tylko będą dobre, z pewnością je wydrukujemy.

**Polci L w Rohach.** Historia była wysłana na początku roku, musiała na pocztę zagać; wysyłamy drugi egzemplarz. Oczekujemy się, że *Wyprawa po skarby* tak czytelników zajmująca. W następnym Nrze rozpoczynamy inną podróż niemięjszą.

**Helence B. na Wołyniu.** Uprzedziliśmy żądanie miłej naszej czytelniczki; wiedząc, jak trudno, na wsi zwłaszcza, zebrać licniejszą gromadkę młodzieży do reprezentacji scenicznej, zamierzamy podawać w Piśmie naszym obrazki dramatyczne, których wchodzić będzie mało osób, dwie lub trzy, czasem więcej. Pierwszy obrazek, treści historycznej, podamy niezadługo. Może w następnym Nrze jeśli miejsca starczy. O grach tak nie zapominamy, ale chociaż w tym roku tak znacznie powiększyliśmy ilość druku w naszym Piśmie, jeszcze nam czas za ciasno na wszystko, cośmy chcieli w niem pomieścić, dla pożytku i przyjemności kochanych naszych czytelników.

**Kaziowi S. w Smorzewie.** Imiennik, piszący listy z Warszawy, nie może wyliczyć wszystkich obrazów, które zasługują na wzmiankę, bo zabrałoby mnóstwo za wiele miejsca i musiałby opisać o innych rzeczach, niemięjszą zajmujących, zamilczeć. Nie raz jeszcze powróci do tego przedmiotu, bo na wystawie tuż przed przybywającą ciągle nową dzieła znakomitych naszych malarzy. Nie zapomni też Kazio i o książeczkach dla młodzieży, które ukazują się zwykle przed Bożem Narodzeniem, na Gwiazdkę.